

Wakacje z mułłami – cz. 5

12 października 2007

W powrotnej drodze Mr Ali zawiózł nas na dworzec autobusowy w Sziraz, aby dowiedzieć się czy przypadkiem ktoś nie zrezygnował z podróży i czy nie udałoby się jakoś dostać tych biletów do Kerman, ewentualnie za drobną łapówkę. Dworzec był ogromny, czysty i dobrze zagospodarowany, ale wypchany po brzegi tłumem podróżnych. W korytarzu obok poczekalni był cały szereg biur konkurujących ze sobą linii autobusowych. Napisy wszystkie po persku, nikt prawie nie mówi po angielsku. Trafiamy akurat na masowy eksodus przyjezdnych po No Ruz. Mr Ali po odwiedzeniu paru biur i dyskretnych rozmowach z kilkoma znajomymi mógł tylko rozłożyć bezradnie ręce. Trzeba będzie wynająć ten samochód z kierowcą, co niestety powiększy dziurę w naszym z lekka nadwerężonym budżecie. No ale czy mamy jakąś inną alternatywę?

Po drodze do hotelu Mr Ali zawiózł nas do mauzoleum szyickiego świętego, Mir Mohammad'a, tego samego które widzieliśmy wracając z Hafizii. Jest to przepiękna budowla zwieńczona kopułą wykładaną błękitnymi, lśniącymi kafelkami. Rozległy dziedziniec z obowiązkową sadzawką na środku to prawdziwa oaza spokoju i ciszy w środku gwarne go miasta. Co drugi kamień brukowy to płyta nagrobna ozdobiona perską kaligrafią. Zamożni ludzie mogą sobie pozwolić na pochówek w pobliżu świętego, licząc że dzięki tej bliskości dostaną przepustkę do raju. Przed wejściem do wnętrza mauzoleum wszyscy muszą zdjąć buty, a kobiety, nawet odziane wedle tutejszych reguł, okryć się „czadorem” czyli tą tutejszą płachtą. W środku posadzka wyłożona jest kosztownymi dywanami. Pod kopułą, w ozdobnej skrzyni ze szkła i brązu, spoczywa metalowa trumna z relikwiami świętego. Największa boczna nisza, zarezerwowana dla kobiet, jest odgradzona kotarą. Wchodząc do mauzoleum w najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewaliśmy się zobaczyć czegoś tak wspaniałego. Wszystkie ściany wewnętrzne, łącznie z

kopułą wyłożone są mozaiką z luster. Czuliśmy się jak wewnątrz ogromnego kalejdoskopu, albo grotu z kryształu i srebra. Mauzoleum było prawie puste, tylko w odsłoniętej akurat niszy dla kobiet parę młodych dziewcząt siedziało na dywanach z książkami. Mr Ali wytłumaczył nam, że budowle religijne są często miejscami spotkań znajomych, rodzin i zacisznymi zakątkami do nauki dla studentów. Nie są to, jak kościoły chrześcijan, domy boże, ale raczej sale modlitw i nie trzeba tam bić pokłonów przed ołtarzem, czy siedzieć bez ruchu nabożnie wpatrując się w niszę modlitewną.

Wróciliśmy do hotelu, odświeżyliśmy się trochę i poszliśmy do kebabi przy głównej ulicy na lunch. Po czterech dniach nauczyliśmy się wtapiać w tłum. Poruszamy się jak tutejsi, z oczami w dół. Od biedy możemy już uchodzić za swoich, do tego stopnia, że ludzie nie bardzo mogą szybko rozgryźć, kim my właściwie jesteśmy. Krzysiek ze swym wyglądem południowca, brodą i wąsami wygląda na przeciętnego faceta z ulicy. Natomiast ja budzę lekką konsternację, bo nie pasuję do niego jako tutejsza żona. Niemniej jednak kilkakrotnie zdarzyło się, że ktoś odezwał się do nas po persku i dziwił się że nie rozumiemy.

Jeśli idzie o wygląd, to jestem tu bardziej na miejscu niż w Polsce, żartuje mój mąż.

Okazuje się również, że wbrew naszym początkowym wrażeniom, tutejsi są niezwykle przyjaźni, mili, gościnni i uprzejmi pod warunkiem, że nie przekracza się norm, które kierują ich własnym życiem. Wciąż nas ktoś zagaduje, czy mówi „hello”. Na lunch zjedliśmy po smakowitym „irańskim” sandwiczu, który składał się z ogromnej, świeżej bułki, nadzianej kebabem i górą zieleniny i przepysznych kiszonych ogórków, które są tu podawane do każdego prawie jedzenia. Do popicia wzięliśmy tutejszy specjał o nazwie Dugh. Jest to jogurt zmieszany z gazowaną wodą mineralną. Z początku ta kombinacja nie bardzo nam podchodziła, ale nim wypiliśmy pierwszą butelkę, polubiliśmy.

Na ulicach uderzył nas zwyczaj obejmowania się lub prowadzenia za ręce przez mężczyzn. Wytłumaczono nam jednakże, że jest to zupełnie normalne i dziwiono się, że gdzie indziej na świecie jest to odczytywane dwuznacznie.

Zwykle w podróży dołapia nas jakaś choroba. Najczęściej są to tylko przelotne kłopoty żołądkowe, czasem przeziębienia. W ubiegłym roku była to grypa, mimo że byliśmy na nią zaszczepieni. Tym razem choróbsko przyplatało się do mnie, nie wiadomo skąd. Wczoraj czułam się wyśmienicie, dzisiaj pogoniło mnie już dwa razy do ubikacji. Nic wielkiego, pocieszam się, może ten ich jogurt tak na mnie podziałał, bo widmo żołądkowej zarazy jakoś do mnie nie przemawia. Mimo tych dolegliwości postanowiliśmy zwiedzić tutejszy ogród botaniczny. Miła poranna przechadzka, choć czuję się dziwnie osłabiona. Nim doszliśmy zaczęło mnie ostro mdlić. Nie było sensu dłużej czekać. Złapaliśmy taksówkę i wróciliśmy do hotelu. Nim dojechaliśmy już trzęsły mną dreszcze. Trochę wymiotowałam i chyba mam sporą temperaturę bo serce tłucze mi się w piersiach jak oszalałe nawet po zrobieniu kilku kroków. Krzysiek opatula mnie kocami, ale to niewiele pomaga bo zęby mi szczękają. Widocznie coś mi zaszkodziło, albo złapałam żołądkowego wirusa. Szperamy w pamięci co też takiego podejrzanego jedliśmy ostatnio i dochodzimy do wniosku, że musiał to być sok pomarańczowy. Na każdej ulicy są małe stoiska, sprzedające wyciśnięte na miejscu soki z pomarańczy, marchwi, melonów, którymi raczymy się parę razy dziennie. Zawsze serwowali nam świeży sok z małego dzbanka, gdy tymczasem wczoraj nie zwróciliśmy uwagi, że akurat w tej sokowni facet wlał nam ten sok z ogromnego baniaka, coś takiego jak na sorbet. Nie był taki też dobry jak zwykle, ale spragnieni wypiliśmy. No i teraz są skutki. Krzysiek kupił mi mnóstwo miodu w jednorazowych pojemnikach. Zmuszam się aby go jeść łyżkami, bo podobno dezynfekuje żołądek, a poza tym utrzymuje poziom energii w osłabionym organizmie. Na jutro mamy zarezerwowany prywatny transport do Kerman i muszę być na chodzie, to 550 km, kilka godzin jazdy. Wyjeżdżamy o siódmej

trzydzieści, a przedtem oczywiście trzeba będzie spakować cały ten nasz pieprznik do plecaków. Od samego patrzenia na stosy rzeczy, które trzeba w nie upchnąć robi mi się gorąco. Po piątym pojemniku miodu żołądek mi się ściska już na samą myśl, choć kuracja pomaga. Pod wieczór spadła mi temperatura i poczułam się zdecydowanie lepiej.

No widzisz, a tyle musiałem się nagadać żebyś jadła ten miód...

Następna konsternacja. Nie sprawdziliśmy po przyjeździe miejscowego czasu, przekonani że to musi być ta sama strefa, bo to przecież tylko godzina lotu od Dubai. Tymczasem okazało się, że nasze zegarki były spóźnione o 30 minut. To dlatego nasi kierowcy zawsze zjawiali się pół godziny wcześniej i długo na nas czekali, mówiąc, że niby wszystko jest OK, ale tak czy siak, było nam wstyd.

Dzisiaj przy śniadaniu powitał nas przystojny, dwudziestosześcioletni młodzieniec przedstawiając się jako Ali, kierowca, który ma nas zawieźć do Kerman. W aucie na dole czekała jego żona, osiemnastoletnia dziewczyna. Od roku są małżeństwem, a ponieważ ona spędza większość czasu w domu, postanowił ją zabrać dla towarzystwa, oczywiście jeśli my nie mamy nic przeciwko temu. Oboje mówili po angielsku i była to dla nas nie lada gratka, aby pogadać z tutejszą młodzieżą. Po pół godzinie jazdy zadzwonił telefon komórkowy Alego. Okazało się, że Krzysiek zapomniał oddać klucz od naszego pokoju, ale na szczęście nie musieliśmy zawracać bo kierowca im go zawiezie z powrotem. Przy wyjeździe z miasta utknęliśmy w przeogromnym korku. Dziś jest akurat trzynasty dzień świętowania (Sizdah) i zgodnie z prastarym zwyczajem ludzie przygotowują na tą okazję „zielony talerz” z wykiełkowanej pszenicy, z którym wyjeżdżają za miasto aby urządzić piknik na łonie natury, przewiązać go wstążką, wypowiedzieć odpowiednie życzenia na nowy rok i zostawić. Na maskach wszystkich aut siedziały te zieleniny, a ruch posuwał się z prędkością żółwia. Wydawało się że nigdy się to nie skończy, ale na szczęście policja skierowała część samochodów na pas jezdni w

przeciwnym kierunku i powoli rozładowała korek. Irańskie drogi pochłaniają dwadzieścia tysięcy ofiar rocznie, a jazda po bardzo zatłoczonych ulicach czasem skłania do zamykania oczu. Poza miastem wjechaliśmy w ogromne, zupełnie nagie góry bez żadnej roślinki czy krzaczka. Krajobraz wokół księżycowy. Teren jest niezamieszkały, czasem z rzadka jakiś pasterz pilnujący kóz zwróci na moment naszą uwagę, ale ogólnie z wyjątkiem skał układających się w niesamowite formacje i sięgających do nieba, nie ma wokół żywej duszy. Mijamy ogromne słone jeziora, ciągnące się na dziesiątki kilometrów. W niektórych woda wyschła zupełnie odsłaniając nagie, płaskie dno, pokryte białą skorupą soli, nad którą powietrze drży od gorąca. Dla kontrastu na szczytach wyższych gór leży śnieg. Jazda jest bardzo męcząca, bo ruch duży. Na szczęście facet jest dobrym kierowcą. Czasem jednak musi ostro hamować i zjeżdżać na pobocze aby uniknąć czołowego zderzenia, bo tutejsi pchają się wciąż na trzeciego, albo nawet czwartego. Po drodze zatrzymujemy się przy jakichś straganach w szczerym polu. Sprzedają tam owoce, szafran i suszone figi, podobno jedne z najlepszych w świecie. Z wyglądu przypominają raczej włoskie orzechy w skorupkach. Kiedy się je namoczy pęcznieją do normalnych rozmiarów i smakują prawie tak jak świeże, choć inaczej niż te z naszych zachodnich sklepów. Z czasem góry rozstąpiły się i droga wiodła przez skalisto-piaszczystą pustynię, a ponieważ dzień był dość wietrzny, miejscami przejeżdżaliśmy przez piaskowe burze. Tumany płowego piasku z chrzęstem uderzały o nasz samochód redukując widoczność do parudziesięciu metrów. Za pustynią, na szosie zaczęły pojawiać się co kilkadziesiąt kilometrów punkty kontrolne, gdzie policja i wojsko sprawdzają ciężarówki i autobusy. Do granic z Pakistanem i Afganistanem niedaleko. Po osiem i pół godzinie jazdy dotarliśmy wreszcie do Kerman. Ali zatrzymał się z własnej inicjatywy przed biurem turystycznym, gdzie dostaliśmy plan miasta i mapę prowincji z wyszczególnieniem wszystkich miejscowych atrakcji.

KERMAN

Kerman to 300 tysięczne miasto na środku pustynnej doliny, otoczonej górami tonącymi w chmurach i największe skupisko ludzkie przed wschodnią granicą. Położenie w pustynnej okolicy, bezrobocie, bieda, tłumy uchodźców afgańskich, przemytnicy broni i narkotyków składają się na irański „Dziki Zachód” lub raczej „Dziki Wschód”. Książka ostrzega przed samotnymi wyprawami na pustynię, zwłaszcza w stronę Afganistanu. Samo miasto nijakie. Ulice puste, bo jest święto i ludzie siedzą po domach. Hula porywisty wiatr syjący piaskiem w oczy i rozwiewający śmieci. Jest dość chłodno. Hotel Akhavan bardzo przyzwoity, obsługa mówi po angielsku, w recepcji zaczęli pertraktacje o pokój od poczęstowania nas doskonałą gorącą herbatą. Podobno właściciel mieszkał przez parę lat w Hiszpanii skąd przywiózł zachodnie wzorce prowadzenia tego typu biznesu. Dostaliśmy przyjemny, duży, ładnie umeblowany i lśniący czystością pokój, choć wkrótce okazało się że nie sposób w nim wytrzymać, bo jakaś rura z ciepłą wodą umiejscowiona pod podłogą robi z niego gorący inkubator bez możliwości regulacji temperatury. Poprosiliśmy o zamianę.

W pokoju nie trzeba się cnotliwie ubierać, co za ulga!

Nowy pokój chłodny, ale łazienka gorsza. Trudno. Wyprałam nasze rzeczy. Na parking w podworcu zajechał duży wycieczkowy autobus pełen Niemców. Kobiety mają lada jakie chustki i różne szaliczki na głowach, tylko nieliczne z nich noszą „manteau”. Widać w dużej wycieczkowej grupie z przewodnikiem i kierowcą to uchodzi. W holu nawiązaliśmy znajomość z samotnie podróżującą młodą Angielką z ambasady w Teheranie. Jest doświadczoną podróżniczką, ale coś mi się wydaje że szuka potencjalnie niebezpiecznych przygód, bo na jutro zamówiła sobie zwiedzanie miasta sam na sam z przewodnikiem. W świetle tutejszego prawa i obyczajów wygląda to niemalże jak wezwanie do rewolucji na rzecz emancypacji kobiet.

Mam nadzieję, że nie zostanę gdzieś tam uprowadzona i zgwałcona...

Hotel jest prawie pusty. Dawniej był bazą turystyczną dla wycieczek do Bam, ale po trzęsieniu ziemi nikt tam nie jeździ oprócz oficjeli irańskich i oenzetowskich. Obiad bardzo obfity i urozmaicony. Postawiono przed nami miseczki ze wspaniałym domowym jogurtem, chleb plackowy, zupę, sałatę, omlet z ziemniaków, kebab z kury, kulki z mielonego mięsa. Wszystko wyśmienite. Na deser pomarańcze i herbata. W pokoju buczenie lodówki przeszkadza Krzyśkowi zasnąć, więc ją wyłącza. W środku nocy budzi nas głośny łomot – gruba skorupa lodu w zamrażalniku zaczęła się topić i odpadła.

W recepcji próbują nas namówić na wycieczkę do miasteczka Mahan i ruin twierdzy na pustyni, oddalonej o 40 km, za \$ 30 od łebka. Odmawiamy, bo boimy się, że nam nie starczy pieniędzy. W hotelu ostrzegają nas przed wyrwaniem torebki i okradzeniem, bo podobno dość często się to zdarza. Nawet w biały dzień ulice pełne są podejrzanych, dziko wyglądających typów, a wieczorem chyba nie wyszłabym z hotelu. Zagadujemy młodego Europejczyka. Mówi, że jest Szwedem, jedzie na swym motorze ze Szwecji do Indii. Właśnie szykuje się zmienić opony w swoim motocyklu na terenowe – drogi w Pakistanie są o wiele gorsze niż w Iranie. Jego maszyna budzi powszechną sensację – w Iranie motory z silnikami większymi niż 500 cm³ są zakazane dla wszystkich miejscowych z wyjątkiem policji.

Do Mahan pojedziemy sami. To tylko 40 km od Kerman, a o transport jest łatwo. Łapiemy taksówkę do skrzyżowania po drugiej stronie miasta, z którego odjeżdżają gromadzkie taksówki i mikrobusy do Mahan. Wsiadamy na jakimś rondzie. Przy krawężniku stoi rząd odrapanych Paykanów, z szerokim pomarańczowym pasem wymalowanym od przedniego do tylnego zderzaka. Od razu doszedł do nas jakiś facet oferując transport.

Poza największymi miastami taksometry są nieznane, a nawet w Teheranie i Isfahanie są rzadkością. Przewoźnikiem może być każdy kto ma auto i dostanie zezwolenie od miejscowej administracji. Większość tych aut jest tak zdezelowana że

wydaje się, że podczas jazdy mogą w każdej chwili rozsypać się na części. Ceny są stałe, przynajmniej dla miejscowych. Turyści mogą natomiast być skubani do woli. Zanim się do taksówki wsiądzie trzeba wytargować cenę za przejazd. Najlepiej wziąć za punkt wyjścia 60% żądanej przez kierowcę sumy, a następnie po wymianie kilku propozycji przez obydwie strony, wylądować na około 80 procentach. Targowanie się z prawdziwymi mistrzami, bez znajomości języka, to nie lada sztuka, w której specjalizuje się mój mąż. Liczby do stu mniej więcej znamy, ale zrozumieć je w szybkiej wymianie zdań jest czasem zupełnie niemożliwe. Najczęściej więc skubią nas bez miłosierdzia i nie ma na to rady. Najważniejsze to nie tracić równowagi i dobrego humoru i nie przejmować się zbytnio. Tysiąc riali brzmi groźnie, ale to w końcu tylko 20 centów.

Ledwie zaczęliśmy negocjacje dobiegło do nas jeszcze trzech innych kierowców i zaczęli nas sobie wyrywać szarpiąc Krzyśka we wszystkie strony. Mnie oszczędzili, jako że mężczyznom nie wolno dotknąć obcej kobiety. Krzysiek próbował im jakoś tłumaczyć, że chcemy jechać z tym który pierwszy do nas doszedł, ale bez skutku i cała czwórka zaczęła krzyczeć i okładać się pięściami. Sytuacja zrobiła się dosyć napięta, na szczęście zauważyłam, że kierowca jednego z aut na rondzie zwolnił i machnął do nas z oddali. Pociągnęłam Krzyśka w tamtym kierunku i zanim się kto zorientował siedzieliśmy już w samochodzie. Pozostali widząc że łup im przepadł, cały swój gniew przenieśli na nasze auto szarpiąc za klamki i kopiać w błotniki. Kierowca szybko odjechał i na szczęście nikt nas nie gonił, choć z drzeniem serca oglądałam się przez chwilę za siebie. Zatrzymaliśmy się parę razy, żeby zabrać jeszcze jakąś kobietę i dwóch facetów. Komplet pasażerów w gromadzkich taksówkach to 5 osób, poza kierowcą. Z tyłu siedzą trzy osoby, dwie pozostałe muszą gnieść się z przodu na siedzeniu obok kierowcy. Kobieta która siedziała obok mnie była gdzieś ze wsi, starsza, spracowana i zakutana w kilka warstw czerni. Zaraz poszperała w swych węzełkach i poczęstowała nas pysznymi kruchymi ciasteczkami na maśle, nadziewanymi daktylami.

Uśmiechała się do nas i próbowała rozmawiać na migi. Nasz kierowca rwał jak opętany przez pustynię, przy akompaniamencie muzyki z radia wyjącego do maksimum. W pewnym momencie przed nami pojawiło się inne auto, pędzące z zawrotną szybkością wprost na nas i wyglądało na to, że za moment dojdzie do czołowego zderzenia. Nasz kierowca ani mrugnął, nie zwolnił i nie zmienił pasa. Nasze ręce zacisnęły się w pożegnalnym uścisku, a włosy stanęły dęba na głowach, w ostatnim momencie to drugie auto zjechało na żwirowe pobocze. Okazało się, że jechało zupełnie pod prąd, bo jezdnia w przeciwnym kierunku była o pięćdziesiąt metrów obok. Widocznie tu w Iranie Allah ma nas w swojej opiece...

Mahan to bardzo przyjemne miasteczko, z tradycyjną w większości zabudową, pełne zieleni, która kończy się jednak, jak nożem uciął, na granicy miasta. Dalej rozciąga się buropłowa, piaszczysto-skalista równina, ściśnięta z dwóch stron przez strome, urwiste, przyprószone śniegiem pasma gór. W centrum miasta wznosi się przepiękne mauzoleum z XIV w, zwieńczone wspaniałą kopułą wyłożoną błękitnymi kafelkami w białe geometryczne wzory. Przed wejściem jakiś uliczny sprzedawca zachwalał kilka par sandałów, które rzuciły mi się w oczy, bo były dość szerokie, a ja mam zawsze kłopot ze znalezieniem wygodnych, szerokich butów. Przymierzyłam, jedno były jak na mnie zrobione, kupiłam je od razu, bez targowania się, przepłacając (oczywiście). Z cenami w Iranie można dostać kręćka. Miejscowi najczęściej liczą pieniądze nie w rialach, ale w tomanach (toman=10 riali), a cena, czy oficjalnie wypisana czy umowna, może być albo w rialach, albo tomanach. Bez dobrej znajomości języka i miejscowych zwyczajów można łatwo się przewieźć, płacąc tomany zamiast riali. Później, kiedy zapoznaliśmy się z cenami butów w sklepach doszliśmy do wniosku, że przepłaciliśmy, choć nie aż 10 razy, zresztą robienie dramatu o 50 centów czy dolara nie ma sensu. Wsadziliśmy nasz zakup do plecaka i weszliśmy na teren mauzoleum. Za bramą jest piękny, rozległy, dziedziniec, obsadzony wysokimi, dorodnymi drzewami, z prostokątną sadzawką

czystej wody pośrodku, w której odbijają się zieleń i kolorowe kopuły.

Koniec części piątej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)